

FELIETON NAUKOWY



OKRUCHY XXVIII.  
ROZMYŚLANIA O CZASIE MINIONYM

**Ignacy Z. Siemion**

*Wydział Chemii, Uniwersytet Wrocławski  
ul. F. Joliot-Curie, 50-383 Wrocław*

*Jackowi, na Jego siedemdziesięciolecie*

---



**Ignacy Z. Siemion**, urodzony w 1932 r., ukończył studia chemiczne na Uniwersytecie Moskiewskim w 1955 r. Doktorat nauk technicznych na Politechnice Wrocławskiej – 1964. Doktor habilitowany nauk chemicznych – 1968. Profesor nadzwyczajny – 1974, profesor zwyczajny – 1981. Był kierownikiem Zakładu Chemii Organicznej Wydziału Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego. Własne zainteresowania badawcze: chemia i stereochemia peptydów i białek. Wypromował 23 doktorów chemii, z których pięcioro się habilitowało. Autor 9 książek, 275 prac oryginalnych i ponad 140 artykułów przeglądowych oraz dotyczących historii nauki. W latach 1983–1994 Redaktor Naczelny „Wiadomości Chemicznych”. Obecnie opiekun Gabinetu Historii Chemii Wydziału Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego.

Kiedy w roku 1955 kończyłem studia chemiczne, nie istniało jeszcze pojęcie konformacji molekularnej. Trwały dyskusje, czy tę cechę struktury cząsteczkowej nazywać konformacją, czy też może konstelacją? Ba, nie istniało jeszcze w chemii pojęcie chiralności. Owszem, mówili o niej niektórzy fizycy. Cała ta, ogromna dziś dziedzina nauki dopiero zaczynała powstawać. Ówczesna stereochemia była już wprawdzie szeroko rozwinięta, ale to, co nam o niej mówił pasjonujący się stereochemią profesor A.P. Tjerentjew odpowiadało, z grubsza mówiąc, podręcznikowi Georga Wittiga. Nie zdajemy sobie z tego na ogół sprawy, ale cały ten wielki rozdział chemii powstał na naszych, niejako, oczach, rozwijał się wraz z nami.

Uprawiając, jak my, chemię związków naturalnych, musieliśmy zajmować się związkami chiralnymi. Nasze badania musiały więc obejmować takie charakterystyki badanych połączeń. Wtedy charakterystyki te sprowadzały się do punktowych pomiarów skręcalności optycznej, robionych na ogół dla linii D światła lampy sodowej. Dysponowałem takim przyrządem, poniemieckiego pochodzenia, dobrej zresztą marki. Dziś trudno to sobie studentowi wyobrazić, bo stan zastany zwykliśmy ekstrapolować na minione czasy. Nie tak dawno moja małżonka opowiadała dzieciom w pewnej szkole w małym miasteczku o życiu codziennym starożytnych Greków. W pewnym momencie wykład przerwał jej oburzony młody człowiek, wykrzykując: – Jak to, to oni nie mieli Internetu?! Przypomnijmy, że Internetu w latach pięćdziesiątych też nie było.

Pod koniec lat pięćdziesiątych sytuacja zaczynała się zmieniać. Charakterystyki własności chiralooptycznych związków chemicznych objęły większy zakres długości fal światła – pojawiły się pomiary krzywych dyspersji skręcalności optycznej (ORD). Bezpośredni opiekun, mojej pracy magisterskiej, W.M. Potapow, (później autor popularnego podręcznika stereochemii organicznej) sam opóźniony wojną i frontem, zbudował samodzielnie przyrząd pracujący na kilku długościach fal. Te pomiary dawały pojęcie o przebiegu krzywych ORD w części widzialnej widma. Korzystając z jego życzliwości wykonałem szereg pomiarów w trybie korespondencyjnym, wysyłając mu próbki do Moskwy. W kraju taki przyrząd – spektropolarymetr – miał w Warszawie profesor Zakrzewski, biochemik. Źródłem światła była tam lampa rtęciowa. Pomiar kończył się na 365 nm; taka była jego granica. Był to przyrząd firmy Rudolph. Jeździłem tam, wożąc gotowe roztwory próbek. Nocą do Warszawy, dzień na pomiary, w nocy powrót do domu. Profesor Zakrzewski był gościnnie i nawet jakby trochę zbudowany moją gorliwością.

Tymczasem w latach 60. świat zrobił wielki krok do przodu. Pojawiły się spektropolarymetry wyposażone w lampy ksenonowe, umożliwiające ciągły pomiar krzywych ORD, aż do mniej więcej 200 nm. Pierwszy taki przyrząd, po wielu staraniach, dostał u nas Józef Lisowski, pracujący w Instytucie Immunologii PAN. Był to aparat firmy japońskiej, Jasco ORD/UV-5. Cóż to była u nas za sensacja! Ale otrzymanie przydziału dewiz na zakup aparatu to była tylko połowa sprawy. W każdym aparacie części się zużywają, następują ich ubytki. Ale tego nie uwzględniali nasi fundatorzy. Że potrzebne jest mianowicie, stałe zasilanie małymi sumami, posiadaczka takiego przyrządu. Bez tego aparat stanie i będzie stał. Ale to się już nie mieściło w zwyczaju-

jach wysokich urzędów. Dostałeś przydział i dosyć! Następny! W naszych warunkach, aby przyrząd ciągle chodził, jego posiadacz musiał mieć dobrego operatora, który umiał by sobie z awarią poradzić, czymś braki załatać, korzystając z krajowych zamienników. Józio Lisowski miał takiego operatora w osobie inżyniera Superata, którego przez przekorę nazywaliśmy „Manko”. Był to wtedy człowiek starszy od nas, był już bliski sześćdziesiątki. Przedziwnie wyczuwał, co aparat boli i bóleści umiał zaradzić. Ale nigdy nie rozumiał, co tam właściwie Józio mierzy. Kiedyś mówił do mnie tak: – Wiesz, już czwarty raz Józio mi tłumaczył co się tam mierzy. I znów za cholereę nie rozumiem. To sprawa nie do pojęcia!

Dopełnieniem pomiarów krzywych ORD stały się pod koniec lat 60. pomiary krzywych CD (dichroizmu kołowego), zawierających bez porównania więcej wartościowych informacji. Tutaj pierwsi byli Poznaniacy, Michał Kiełczewski i Jacek Gawroński. Razem przetłumaczyli bardzo wówczas potrzebną książkę: monografię P. Crabbego o metodach chiralooptycznych. Jej polski przekład wyszedł w 1974 roku. Michał swoim nazwiskiem przypomniał mi strony rodzinne. Kiełczewice, stara wieś w pobliżu Bychawy, była gniazdem rodu Kiełczewskich. Wiele o nich pisał w swoich pamiętnikach Kajetan Koźmian, ich bliski zresztą krewniak. Mężczyźni tego rodu słynęli z rozlicznych pasji, którym zresztą bez oporu ulegali. Nie wiem, czy Michał wywodził się z tego właśnie gniazda. Jego skłonność do ulegania swoim pasjom mogłaby o tym świadczyć. Bo Michał był zawziętym nurkiem. Nurkował w wodach całego pewnie świata. Byliśmy kiedyś razem na Kongresie IUPAC w Warnie. Wieczorem wyszliśmy na spacer, na molo. Był wtedy z nami ktoś jeszcze, czy nie Stefan Paszyc? – Wiecie – mówi Michał – mam ochotę sobie ponurkować. – A czy masz swój sprzęt ze sobą? – A jakże. Uzbroidł się więc w strój nurka i poszedł w wodę. Czekaliśmy na niego na molo. Był to ciepły wieczór, wielu spacerowiczów wyszło na molo. I oto nagle wyłania się z morza czarna postać jakby kosmonauty. Na molo powstał popłoch, ludzie uspokoili się jednak, widząc, że kosmonauta spokojnie do nas podchodzi. Tej pasji ulegał Michał coraz bardziej, ze szkodą chyba dla stereochemii.

Grupa poznańska zajmowała się głównie steroidami, klasycznym obiektem badań stereochemicznych. Ich usztywniona struktura molekularna, ograniczona możliwość zmian konformacyjnych, sprzyja takim badaniom. Jacek szybko stał się liderem grupy poznańskiej. Spokojny, opanowany, rzekłoby się nieco powściągliwy, ale równocześnie głęboko sięgający w badaną materię i nie pozbawiony umiejętności krytycznej, rzeczowej oceny swoich i cudzych wyników – był, powiedzielibyśmy, znakomitym kandydatem do współpracy badawczej. Niestety zakresy naszych zainteresowań leżały zbyt daleko od siebie i nie przyszło nam razem pracować.

Pierwszy raz spotkałem Jacka w Caen, we Francji, na sympozjum zorganizowanym przez Francuzów za jakieś fundusze zdobyte ze struktur NATO. Byliśmy tam gośćmi z za żelaznej kurtyny, organizatorzy byli jakby zdziwieni, jak udało się nam przyjechać. Jeden dzień sympozjum był przewidziany na pokaz nowego francuskiego dichrografu kołowego, aparatu do pomiaru krzywych CD. Niemal wszyscy uczestnicy sympozjum pojechali jednak na wycieczkę do pobliskiego Bayeux, oglą-

dać dzieje podboju Anglii przez Wilhelma Zdobywcę, wyhaftowane na długim płótnie rękami pracowitych dwórek. Z gorliwości, a może trochę i z braku waluty, zostałem samotnie, by uczestniczyć w nudnym pokazie, z którego nie wyniosłem żadnego pożytku. Wspominam to, jako rodzaj przestrogi dla młodzieży. Jeszcze na studiach pewien starszy kolega pouczał mnie: – Pamiętaj, nadgorliwiec, to szkodliwiec! I miał przecież rację.

Jedną z głównych postaci sympozjum w Caen był Günther Snatzke, arcykapłan metod chiralooptycznych. Była to postać wielce sympatyczna. Miał wśród swoich przodków Polaków i Węgrów, co się często zdarzało w rodzinach austriackich. Uważał za rodzaj swojego obowiązku, by nauczyć się języków obydwu tych narodów. Mówił po polsku całkiem biegle, a jak mnie zapewniał mój węgierski przyjaciel, Marton Kajtar, przebywający u Günthera na stażu badawczym, węgierski opanował równie dobrze. Pod koniec życia (zmarł przedwcześnie) zaczął się uczyć chińskiego. Był wielbicielem chińskiej kuchni, miał nawet z tajników tej kuchni nadobowiązkowe zajęcia dla studentów. W wielu krajach świata miał cykle wykładów z zakresu nowoczesnej stereochemii. Wygłaszał je, jeśli się nie mylę, w Warszawie, a na pewno u nas we Wrocławiu. Jego prelekcje w naszym mieście organizował profesor politechniki, Andrzej Zabża.

Moja bliska znajomość z Güntherem zaowocowała po latach następującym wydarzeniem. Na zaproszenie strony niemieckiej wycieczka rektorów polskich uniwersytetów odwiedziła szereg niemieckich uczelni. Wziął w niej udział i nasz ówczesny rektor. W jakimś mieście napotkali analogiczną wycieczkę rektorów greckich. Na jej czele stał rektor uniwersytetu w Atenach, Michael Stathopoulos. Kiedyś byliśmy zaprzyjaźnieni, jako dwaj stypendyści Fundacji im. Humboldta. Michael odszukał więc w polskiej grupie naszego rektora, i poprosił go, aby „pozdrowił Zenka Siemiona”. Potem byli w Bochum. Tam wycieczką zajmował się nieco profesor Snatzke, bądź co bądź mówiący po polsku. Odszukał więc naszego rektora i powiedział mu: „Niech pan pozdrowi ode mnie Zenka Siemiona”. Rektor był pod dużym wrażeniem tych spotkań, ale znajomości te raczej mi na uczelni nie pomogły.

Przez dłuższy czas korzystaliśmy z możliwości wykonania pomiarów krzywych CD w Poznaniu. Sami dość późno, dopiero w 1989 roku uzyskaliśmy dobry dichrograf. Był to japoński przyrząd JascoJ-600. Wiązało się to z nadzwyczajnym działaniem krakowskiego profesora farmakologii, Jerzego Maja. Prace badawcze były wtedy zorganizowane w systemie tzw. problemów węzłowych. Profesor Maj stał na czele jednego z nich. Z „problemem” współpracowało kilka zespołów pracujących nad chemią peptydów. Były to zespoły uczelniane, pozbawione szans na przydziały dewizowe. Profesorowi zależało na należytych poziomie naszych prac i znał nasze instrumentalne ubóstwo. Wystarał się więc o solidną sumę środków dewizowych doposażył zespoły w Gdańsku, Łodzi i Wrocławiu. To jedyny przykład, jaki znam, kiedy szef problemu w ten sposób wspomógł zespoły współdziałające, ale przecież nie reprezentujące ścisłego kierunku jego badań. Niechże to doprawdy niezwykle działanie profesora Maja znajdzie się przynajmniej w tym wspomnieniu.

